Rocznik II. Kraków 15-go listopada 1908. Nr. 8.

NASZA SKARBNICA

wychodzi **raz** w miesiącu, około dnia 15-go.

Prenumerata „NASZEJ SKARBNICY“ wynosi:
na **rok: 3** korony — na **pół roku: 1** koronę **50** halerzy — Do NIEMIEC na rok: **3** korony **50** halerzy. — Do AMERYKI rocznie: **1** dolar.

ADRES do przesyłania prenumeraty:
Redakcya „NASZEJ SKARBNICY“ w Krakowie, ul. Powiśle 12.

Prosimy

o rychłe przysyłanie nowej prenumeraty na rok przyszły, a niektórych Czytelników także i o wyrównanie dłużnych należytości.

Ci Szan. Czytelnicy, którzy zapłacili w roku zeszłym **3** korony, mają dopłacić za ten rok 1908 jeszcze **75** halerzy, gdyż ich prenumerata liczyła się tylko do końca września b. r. Inni zaś winni nam są za pół roku.

Rocznik 3-ci *Naszej Skarbnicy* zacznie się w styczniu roku przyszłego.

Na czem prawdziwe szczęście zależy.

Najgorętszem pragnieniem tak pojedynczego człowieka, jak i całych społeczeństw jest: — pozyskać szczęście w najszerszem tego słowa znaczeniu. Wszystkie trudy i prace, wszystkie wysiłki umysłu i woli zmierzają tylko do jednego celu: do pozyskania szczęścia. Każdy za niem goni, ale każdy inaczej je sobie przedstawia i według tego w odmienny sposób poszukuje. Jedni sądzą, że można je znaleźć w pieniądzach jedynie i w dostatku; starają się więc usilnie o ich nabycie. Tacy wiele ponoszą trudów, życie ich jest ciężkie i mozolne; a gdy wreszcie zdobędą mienie upra-

gnione, przekonywają się, że ono przynosi im dużo kłopotów, trosk i niepokoju, ale szczęściem nie napawa wcale.

Inni, zwłaszcza młodzi, szukają szczęścia w zabawach, w uciechach, nęci ich niebezpieczny, pstry świat zewnętrzny, a wyobraźnia młodzieńcza tworzy w nim obrazy prawdziwej rozkoszy i każe patrzeć przez szkła powiększające. Gonią za przyjemnościami, strojem, używaniem, ale szczęścia i oni nie znajdują, bo pełni są pożądliwości i tęsknoty za czemś nowem, bo brak im spokoju, a bez spokoju niema szczęścia. Bogactwo i uciechy życia nie dają jeszcze szczęścia bynajmniej.

Słusznie więc zatem ktoś powie, że na ziemi widać szczęścia niema wcale. Tak jest w istocie. Nie na to przecież żyjemy, abyśmy tu szczęścia używali; ale na to, abyśmy tak przez to życie przejść umieli, by trafić do właściwej krainy szczęścia — do nieba. To też ludzie mądrzy nie zaprzątają sobie głowy zbytniemi marzeniami o jakiemś wielkiem szczęściu, bo wiedzą, że te się nie spełnią; czują się już szczęśliwi i zadowoleni, gdy nie cierpią, gdy nie mają ciężkich trosk i utrapień. Uważając ziemię za rodzaj piekła, radzi są, gdy w tem piekle znajdą kącik wolny od ognia. Niemądrzy tylko wciąż gonią za rozkoszami, ciągle się też oszukują.

Już starożytni filozofowie powiadali, że szczęście nie polega na używaniu przyjemności światowych, ale na spokoju, na tem, że się nie cierpi. Kto nie ma wielkich cierpień tak duchowych, jak cielesnych, kto przytem nie doznaje nudów, ten jest prawdziwie szczęśliwy. Myli się ten, kto chcąc ten padoł płaczu na raj sobie zamienić, szuka szczęścia w uciechach życia. Po krótkich bardzo chwilach radości przynoszą mu one rozczarowanie, czczość, zniechęcenie, a często rzeczywiste nieszczęście i zmartwienie, a tym sposobem, zamiast przynieść, wydzierają mu szczęście.

K t o z a d o w a l a s i ę t e m, c o p o s i a d a, kto jak najmniej ma pragnień, zachcianek i wygórowanych ambicyi, ten jest mądry, bo właściwie ten jest szczęśliwy. Słusznie powiedział nasz poeta Kochanowski:

»Ten pan, zdaniem mojem,
Kto przestał na swojem».

Prócz tego trzeba umieć i oceniać to, co mamy. Dziś dlatego jest tak mało ludzi szczęśliwych, że patrząc z zazdrością na szczęście drugich i u innych takowego szukając, u siebie go znaleźć nie umieją. Zamiast z goryczą myśleć o tem, że ktoś ma to, lub owo lepsze od nas, zwróćmy na siebie uwagę. Pomyślmy o przyjemności, jakiej używamy, mając kąt spokojny, ciepłą strawę, smaczny kęs chleba, lub czystą chłodzącą wodę, czy to już nic nie znaczy?

Zastanówmy się, że tego wszystkiego moglibyśmy być pozbawieni, jak to wówczas przykroby nam było, — a poczujemy zadowolenie z tego, co mamy. Pomyślmy o tych, co w gorszem są od nas położeniu, a wtedy znajdziemy dokoła siebie niewyczerpane źródło uciech. Siedząc przy ciepłym piecu w czasie mrozu lub zawieruchy, pomyślmy o podróżujących w tej chwili, zziębniętych, zmęczonych, którzy marzą tylko o tem, co my posiadamy, a czego ocenić nie umiemy, jak należy.

Gdy w pole wyjdziemy, umiejmy patrzeć na piękny świat Boży, na te drzewa i kwiaty, na niebo jasne, przejrzyste — i pomyślmy o zamkniętych w więzieniach, o wszystkich, co swobodą cieszyć się, jak my, nie mogą, a poczujem się panami, poczujem szczęśliwymi. Oddychając czystem powietrzem, napojonem wonią kwiatów, zapachem zbóż, świeżością wiosny, pomyślmy o zamkniętych w dusznej atmosferze, w podziemiach, a uczujem się bardziej uposażonymi. Umiejmy dopatrzeć się szczęścia w każdej chwili, w każdem położeniu, a znajdziemy je niezawodnie i nie będzie tyle skarg na świecie.

Poznawszy niezliczone dary Boże, jakimi nas Opatrzność hojnie wzbogaciła, widząc piękność przyrody, odczuwając słodycze, jakie płyną z miłości wzajemnej, z wiary i cnoty, duchowe rozkosze cichej, poczciwej pracy, poczujem się szczęśliwymi teraz, poczujem nadto, że stokroć szczęśliwszymi będziemy kiedyś, w krainie wiecznych radości — z nadzieją też się modlić będziemy do Boga:

«Panie! coś świat ten nizki pięknie przyozdobił!
Jakież szczęście Tyś w niebie dla nas przysposobił!»

NA POLACH CECORY.

Wspomnienie historyczne.

Sto tysięcy z górą Turków i Tatarów wysłał Osman II. na podbicie Polski w roku 1620. Szli Tatarzy pod sławnym Kantemirem, zwanym «Miecz Krwawy» albo «Wściekły Słoń», szli Turcy pod Iskanderem baszą, szli Wołosi, Węgrzy i pomniejsze ludy i straszliwa ta armia chciała zalać Polskę całą.

A Polska? Trawiona niesnaskami możnych magnatów swoich królewiątek, mogła wystawić tylko 6 tysięcy jazdy i dwa tysiące piechoty przeciw zalewowi barbarzyńskiemu pod sławnym posiwiałym w boju hetmanem Żółkiewskim.

Świetny był natomiast zastęp wodzów polskich: Stanisław Koniecpolski, Samuel kniaź Korecki, Mikołaj Struś, Jan i Łukasz Żółkiewscy, Marcin i Walenty Kazanowscy, Farensbach, Denhof, Mikołaj Potocki, Tyszkiewicz, Chmielecki, Szembek, Rogowicz i t. d. Mimo tych wodzów jednak, których imiona sławne w Polsce były całej, wojska polskie tylko do 8 tysięcy liczyły. Mijały dnie i tygodnie, a znikąd nie było przypływu nowych posiłków.

Wojska polskie stanęły nareszcie nad Prutem na polach cecorskich! Tu szczupłe zastępy polskie w okopach postanowiły oczekiwać nieprzyjaciół. Trzeciego dnia ukazali się Tatarzy. Było to 17-go września. Pułki konne o lekkich zawojach i pancerzach żelaznych, nieprzejrzane, zbite masy piechoty, lekkie i ciężkie działa, las kopii, garby wielbłądów, wszyszko to waliło jak nawałnica, milcząca a groźna, na maleńki obóz polski.

Puścił hetman pułk Rogowicza na harcowników tatarskich, by pochwycić języka. Natarcie było potężne, pogrom straszliwy. Rogowiczowi przybył w pomoc Denhof. Turcy aż za górami szukali oparcia. Rozgrzały się serca polskie. Domagano się walnej bitwy. Przezorny hetman obawiał jej się, wreszcie wydał rozkazy, ulegając zapałowi panów polskich. Zwycięstwo czy śmierć, jednak pozostanie wielkość nazwiska — pomyślał.

Dzień 19-go września.

Skinder-basza, wódz naczelny, kazał podnieść żółtą chorągiew, dał znak do boju. Bissau-illah (w imię boże) — za-

wołał — zagrały armaty, wojska ruszyły na bój, śmierć na żniwo, na krwawe. Nie ludzie to byli, nie konie ich nosiły, gnał jakiś wicher szalony, rzekłbyś, olbrzymów skrzydlatych. Za husaryą polską wzbiły się chmury kurzawy, przed nimi biegła groza, za nimi — śmierć. Pędziła ta chmura na wojska osmańskie, nagle pękła, rozprysła się i rozwiała, a nad karkami uciekających nogajców i osmanlinów skrzyła się straszliwa błyskawica szabel polskich. I słychać było chrupotanie piersi rozbijanych, charkot deptanych kopytami koni, jęk i skowyt, sapanie nozdrzy umykających rumaków, piekło całe jęków i zgrzytów, i pochód olbrzymi śmierci.

— Szatany — wrzasnął Kantemir. — Bagadiry (bohatery) — odpowiedział Skinder-basza.

Skinął buławą. Sześć tysięcy jazdy pancernej, 12 tysięcy strzelców i 20 tysięcy Tatarów zastąpiło drogę zastępom polskim. Rzekłbyś, szarańcza otoczyła szczupłe, choć zwycięzkie dotąd, pułki polskie, otoczyła żelaznym pierścieniem, niosła nieuchronną zagładę. Rozległy się polskie dzwięki: do odwrotu. To wódz siwy wołał z okopów jazdę swoją do obozu. Wróciła, lecz stoczyła bój nowy zawzięty, zażarty, by się przedrzeć do okopów, wróciła pełna chwały, lecz zdziesiątkowana, okrwawiona. Trzy tysiące pięćset położyli wroga, lecz stracili chorągwi 10, dział cztery, ośmiuset rycerzy i sporo rannych.

Przyszła noc, ukoiła do snu pomęczone wojska. Nadszedł poranek, z nim rozwaga. Pola cecorskie pokryte były nieprzejrzanem mrowiem Tatarstwa. Roztrącić je, przebić ten wał z piersi ludzkich... nikt marzyć nie mógł.

— Bój jutro! — zawołał Żółkiewski, — a jeśli śmierć, to śmierć nasza będzie widmem strachu, stanie przed nimi i zaprze im wrota do granic Rzeczypospolitej.

I oto w nocy uchodzić z obozu zaczęli ci, co najwięcej przeciw Żółkiewskiemu gardłowali. Więc uszedł Odrzywolski, Kalinowski, Tyszkiewicz, Gracyani, Chmielecki i Korecki kniaź. Kto mógł, wymykał się za nimi cichaczem, zapadał się w ciemność, przepadał. Gnał ich strach, nie pomnąc hańby, ocalali życie. A jednak — większa ich część wpadała w ręce czy to Turków czy Tatarów i hańbę przypłacali śmiercią na palu i wśród mąk wielkich.

Jeden Korecki — wrócił się ze wstydu. Wpadł zmokły do obozu w chwili, gdy ciurowie podpalili namioty i do rabunku się rzucili. Z całej i tak już szczupłej ośmiotysięcznej armii pozostało zaledwie 4 tysiące trzysta rycerzy. Z temi siłami Żółkiewski boju nadal z Skinder-baszą toczyć nie mógł. Nakazał więc odwrót dnia 2-go października.

Z siedmiu rzędów utworzył tabor obronny z wozów i dział, długości 600 kroków i 300 szerokości. W samym środku pomieścił chorych i rannych. Wokoło nich szło wojsko w szykach do boju gotowych.

Był to jeden z tych odwrotów, jakiego od czasów Ksenofontowych świat nie widział. Czterotysięczny zastęp polski bez nadziei pomocy, bez jednej chwili wytchnienia, bez snu, bez pokarmu i napoju, szedł w ordynku bojowym przez kraj głuchy, zdradziecki, ogniem armat, grzmotem rusznic i błyskiem szabel się odgryzając tatarskiej rui wilczej, szczerbiąc mur, z głów ludzkich i piersi zbity, ryjąc przejście straszliwe w tym wale ruchomym, ostrzami dzid miotającym, grającym gwizdem strzał — roztrącając te nurty, kipiące złością i żądzą zagłady, bryzgające falami rozszalałego morza. A garstka rycerzy cofa się z pianą wściekłości, ażeby ze wzmożonym szałem znów uderzyć, spiętrzyć się, zawyć, zaskowytać — i rozbić. I tak dzień po dniu, noc po nocy nieustanna praca szabel, przyspieszony dech piersi. I tak kroczyła ta garstka nieustraszonych rycerzy, a gdzie niebezpieczeństwo największe było, tam zjawiał się siwy hetman Żółkiewski, zapalał krew, odpędzał sen, okuwał w pancerz żelazny serca i dusze. I tak odpierano wszystkie ataki, niweczono wszelkie zasadzki, choć całe rycerstwo o jedno błagało nieba: O sen, o sen.

Stary Miecz Krwawy, Kantemira, rwał włosy z rozpaczy i wołał: Ujdą! A Skinder-basza szyderczo się uśmiechał i odpowiadał: Żółkiewski przewodzi.

Postanowiono zdradą podejść starego wodza. Skinder-basza przysłał posłów, chcąc się układać o pokój. Poznał się na podstępie Żółkiewski i zachował czujność. I kiedy Turcy uderzyli podczas układów na obóz, szał ogarnął rycerstwo. Wypadło z taboru i jak wściekłe wzięło na szable i kopie pohańców. Turcy podali tył, a wojsko polskie siekło i bodło, choć ręce od znużenia upadały, choć sen po-

wieki kleił, i wróciło z jedną zdobytą chorągwią i jedną armatą turecką.

Tabor ruszył dalej. Odparli już 10 szturmów, prócz ostatniej bitwy. Do wszelkich niewygód i braku snu dołączył się straszny nieprzyjaciel — głód skręcał wnętrzności. A walki nieustanne, targanie się wściekłe, bezsenne dnie i noce i krwawy pochód do granic ojczystych trwał dalej. W obozie podniosły się krzyki obłąkańców pożądania śmierci, a przedewszystkiem... snu, snu i snu. Ludzie padali z wycieńczenia jak muchy i dla braku jego — a tabor posuwał się dalej po ciałach tych, co znieczuleni, bez sił padli na ziemię.

Dniestr był blizko.

Noc to była już szósta, gdy niebo krwawą pokryło się łuną. Tatarzy step zapalili, by w ogniu upiec garstkę bohaterskich Polaków. I tabor szedł w piekło płomieni, zdeptał, zgasił — i przeszedł.

Znowu dwie doby upłynęły. Zwycięzki tabor szedł dalej — a trupy końskie i ludzkie znaczyły jego pochód i z każdego oblicza patrzały strach, przerażenie i rozpacz.

Dniestr! rozległy się naraz wołania z tysiąca piersi.

Oszalano na widok rzeki, rozerwano tabor i rzucono się pędem w stronę jej. Daremnie hetman błagał, zaklinał i groził — nikt już nie słuchał. A wtem huragan powiał grozą. Kantemir uderzył na rozerwany tabor.

— Śmierć — wyrzekł Żółkiewski.

I śmierć szła nieubłagana, straszna.

— Na koń! panie ojcze, ty już tu na nic — woła Koniecpolski do hetmana.

— Meliori fortunae (lepszemu losowi) na usługę Rzeczypospolitej serva te (ratuj się), a ja swym tułowiem do ojczyzny nieprzyjacielowi niech drogę zawalę.

I dobył szabli i — poszedł na śmierć — w zamęt, w popłoch.

Świt! Słońce oświeciło krwawe bojowisko okropną kośbą śmierci. Było to 9-go października.

Kantemir szukał zwłok Żółkiewskiego i znalazł je. Głowa hetmana bohatera zawisła u sufitu w sułtańskim pałacu

. . . .

— Jak słodko umierać za ojczyznę! — rzekła żona bohatera, dowiedziawszy się o śmierci jego.

Tak walczyli i czuli dawni nasi ojcowie bohaterzy. A dziś my?...

DO MŁODZIEŻY!

(Napisał ks. Józef Janiszewski z Seretu).

Młodzieży droga, gdy burze życia
W łódź twą uderzą wałami,
Steruj ostrożnie nią do ukrycia,
Bo życie grozi — skałami!

Ku górze dążyć wszystkim nam trzeba,
Bo celem naszym — jasne są nieba!
Dobrze więc czyni, kto już w młodości,
Wspina się na szczyt — doskonałości.

Ludzi zadaniem mieć swój cel na oku,
I wciąż doń dążyć, nie zwalniając kroku!

Nauki i czyny Jezusa Chrystusa.

(Ciąg dalszy).

Uzdrowienie Chananejki i obiecanie Piotrowi najwyższej władzy.

Chrystus w okolicach Tyru. Pan Jezus chodził co roku na święta Wielkanocne do Jerozolimy. Faryzeusze chcieli Go koniecznie zabić i szukali odpowiednich okoliczności. Lecz ponieważ czas śmierci Chrystusa jeszcze nie nadszedł, więc zamiast do Jerozolimy poszedł w tym roku na święta do Galilei, nauczając po drodze i uzdrawiając chorych. Przeszedłszy tak całą Galileę, zaszedł w obce strony i przybliżył się do Tyru i Sydonu, gdzie mieszkało wielu pogan Chananejczyków. Wieść o wielkich cudach Zbawiciela doszła już i do tych odległych miast.

Uzdrowienie Chananejki. Pewna niewiasta, Chananejka, dowiedziawszy się, że w ich okolicy znajduje się Ten, który

uzdrawiał chorych w Galilei, pospieszyła ku Jezusowi, błagając Go ze łzami, aby uzdrowił jej córkę, męczoną przez szatana. Chrystus nie zwracał uwagi na prośby biednej kobiety. Uczniowie, którym dokuczał płacz jej, zaczęli prosić Zbawiciela, ażeby ją wysłuchał. Wtedy Jezus odpowiedział: «Jam jest tylko posłany do owiec, które zginęły z domu izraelskiego». A gdy niewiasta nie przestawała prosić, dodał: «Daj się pierwej najeść synom. Bo niedobra jest rzecz brać chleb dzieciom, a dawać go psom»; to jest, że Chrystus przyszedł głosić swą naukę naprzód Izraelitom, a nie poganom. Na to niewiasta odrzekła, że i psy żywią się okruszynami, spadającemi ze stołu pańskiego: chcąc przez to dać poznać, że Chrystus nie wyrządzi żadnej krzywdy ludowi Izraelskiemu, jeśli uzdrowi pogankę. Widząc taką głęboką wiarę w pogance, Jezus zlitował się nad jej nieszczęściem i rzekł: «O niewiasto, wielka jest wiara twoja! Niechaj ci się stanie jako chcesz». Niewiasta z radością poszła do domu, będąc pewną, iż córka jej uzdrowioną zostanie; rzeczywiście znalazła ją zupełnie uleczoną.

Zapowiednia najwyższej władzy Piotrowi. Potem Zbawiciel szedł dalej z Apostołami i w drodze zapytał ich: «Czem mienią być ludzie Syna Człowieczego?» Apostołowie odpowiedzieli, że jedni mają Go za Jana Chrzciciela, drudzy za Eliasza lub za jednego ze starożytnych proroków, który z rozkazu Bożego zmartwychwstał. Wtedy Jezus zapytał Apostołów: «A wy kim Mię być powiadacie?» Na co Piotr odpowiedział: «Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego». Na to wyznanie św. Piotra Chrystus powiedział: «Błogosławionyś jest Szymonie, synu Jonasza: bo ciało i krew nie objawiła Tobie, ale Ojciec mój, który jest w niebiesiech. A ja tobie powiadam: iżeś ty jest opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne nie zwyciężą go. I tobie dam klucze Królestwa niebieskiego. A cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane i w niebiesiech; a cokolwiek rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane i w niebiesiech».

Od tej pory często Pan Jezus opowiadał swoim Apostołom, że wkrótce będzie cierpiał za grzechy świata, że Go na krzyż przybiją i że trzeciego dnia po śmierci zmartwychwstanie.

Przemienienie Pańskie i podatek kościelny.

Chrystus idzie na górę Tabor. Po pewnym czasie Pan Jezus udał się wraz ze swymi Apostołami na górę Tabor, leżącą w pobliżu miasta Nazaret. Przyszedłszy tam, kazał wszystkim zostać na dole, biorąc tylko ze sobą Piotra, Jakóba i Jana, z którymi wszedł na wierzchołek góry. Chrystus chciał raz jeszcze nowym i niezwykłym sposobem przekonać uczniów o swej Boskiej mocy i chwale, aby w przyszłości nie zachwiali się w wierze, widząc Jego poniżenie, mękę i śmierć.

Przemienienie Pańskie. Apostołowie, zmęczeni ciężką drogą, siedli odpocząć i zasnęli. Zbawiciel zaś oddalił się od nich i zaczął się modlić. Nagle niezwykła jasność otoczyła Jezusa Chrystusa. Apostołowie zbudzili się i ujrzeli, iż twarz Zbawiciela jaśniała jak słońce, a szaty Jego były białe jak śnieg i błyszczące. Około Niego, w niebieskiej światłości, stali dwaj wielcy mężowie — Mojżesz i Eliasz, z którymi Jezus rozmawiał o mękach i śmierci, które Go czekały, a którym się poddać miał dla wybawienia ludzi od grzechów i piekła.

Zachwyt Apostołów. Oczy Apostołów nie mogły dość nasycić się niezwykłym widokiem, który mieli przed sobą, i Piotr powiedział do Pana Jezusa: «Panie, dobrze jest nam tu być. Jeżeli chcesz, uczynimy tu trzy przybytki. Tobie jeden, Mojżeszowi jeden i Eliaszowi jeden». Lecz nim skończył to mówić, obłok jasny zakrył Mojżesza i Eliasza i dał się słyszeć głos z nieba: «Ten jest Syn mój miły, w którym sobie dobrze upodobał: Jego słuchajcie». Słysząc słowa Boże, przestraszeni Apostołowie upadli na twarz, ale Jezus podszedł do nich i kazał im wstać. Podniósłszy się, spojrzeli wokoło siebie, lecz oprócz Jezusa, który był w zwyczajnej swej postaci, nikogo więcej nie zobaczyli. Schodząc z góry, Pan Jezus powiedział: «Nikomu nie powiadajcie tego widzenia, aż Syn człowieczy zmartwychwstanie».

Podatek na kościół. Po przemienieniu Pan Jezus wrócił do Kafarnaum. Tam do Piotra podeszli poborcy podatków, które każdy Izraelita powinien był płacić corocznie do świątyni. Zapytali oni Piotra, czy nie zapłaci ich

nauczyciel tego podatku. Piotr zbliżył się do Chrystusa aby Mu o tem powiedzieć, ale skoro tylko podszedł, Jezus go zapytał: «Co się tobie zda, Szymonie? Królowie ziemscy od kogo biorą podatek albo czynsz: od synów swoich, czyli od obcych?» Piotr odpowiedział, że naturalnie od obcych. Wtedy Chrystus rzekł, iż ponieważ On jest Synem Bożym, to nie jest obowiązanym płacić tego podatku. Nie chcąc jednak dawać złego przykładu ludowi swoją odmową, kazał Piotrowi pójść nad morze, zarzucić wędkę, a monetę, którą znajdzie w paszczy pierwszej złapanej ryby, niech odda poborcy jako podatek. Piotr spełnił rczkaz Chrystusa, i znalazł w paszczy złapanej ryby srebrną monetę, która była dwa razy cenniejszą niż podatek, dawany na świątynię i dał ten pieniądz poborcy za Jezusa i za siebie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wypadek w dzień zaduszny.

W Starej Bretanii (prowincyi francuskiej) w malowniczej okolicy, wśród cienistych dębów i zielonych błoni, leży piękna wieś, zwana św. Julia. Spokojni i pobożni jej mieszkańcy opowiadają dzieciom i wnukom swoim sławną historyę, która się zdarzyła w tej okolicy.

Pewnego razu, w uroczystość Wszystkich Świętych, kiedy wierni po Mszy świętej wychodzili z kościoła, jakiś cudzoziemiec, jak się zdawało z jego ubioru, należący do służby okrętowej, stanąwszy na placu ogłasza, że pewien rabuś morski, zmuszony wylądować w porcie Dahnet, będzie sprzedawał wiele rzeczy bardzo tanio o godzinie nieszpornej, jeżeli się kupujący zgromadzą.

Na te słowa okrzyk zgrozy wyrwał się z piersi wszystkich; pobożny lud tej wioski we dnie świąteczne zajmował się wyłącznie swem zbawieniem; oburzenie zatem było powszechne, iż w tak uroczyste święto ośmielono się urządzać jarmark, znieważać religię, odciągając wiernych od nabożeństwa. Jeden tylko bogaty dzierżawca poblizkiego folwarku, nazwiskiem Kernek, nie okazał żadnego nieukontentowania, owszem, z wielką uwagą słuchał ogłoszenia.

Kernek był to człowiek skąpy i samolubny w całem znaczeniu tego wyrazu; nigdy serce jego nie otworzyło się dla współczucia, dla miłosierdzia; nie znał on słodkiej pociechy obtarcia łez nieszczęśliwym, — wsparcia w potrzebie, — jałmużny.... Połączenie się jego z pobożną, pełną zalet dziewicą, nie rozbudziło w nim zamiłowania cnoty, bo pożerała go chciwość złota. Straciwszy tę wierną towarzyszkę, Anioła domowej strzechy, nie dbał o jej duszę; chciwość jego żałowała tylko wielkich korzyści, jakie pod rządem mądrej niewiasty dzierżawa przynosiła, o szczęście zaś jej wieczne wcale się nie troszczył; i przez pięć lat ani jednej błagalnej ofiary oczyszczenia nie przesłał za nią przed Tron Najwyższego.

Uprzedzając nieszporną godzinę, dzierżawca Kernek udaje się skrycie do miasteczka Dahnet; z całej tej pobożnej ludności on jeden tylko nie był tego wieczora w kościele — i nie modlił się za umarłych....

Zdaje się, że interes swój dobrze załatwił, bo o zmroku, gwiżdżąc piosenkę starej ballady, wracał do domu.

Przyspieszał kroku, by go noc nie zaskoczyła, by nie spotkał duchów potępionych, szukających w oceanie kropli wody i nie słyszał szyderczego śmiechu szatanów, wzbraniających im tej ochłody. Przeczucie wszakże nie omyliło go, bo wkrótce miał ujrzeć dziwne rzeczy.

Przybywszy do małego strumyka, który przed kilku godzinami przeszedł był suchą nogą, zdumiał się, znajdując go wezbranym jak bystry potok; musiał zatem naddać sobie drogi, aby go wyminąć. Ścieżka prowadziła przez las, między górami i nieraz okrył go pot śmiertelny, gdy napotykał iskrzące się wlepione weń oczy zbłąkanych wilków, szukających pożywienia.

Było już późno w nocy; Kiernek zbliżał się do wsi świętej Julii, — wtem znagła, przechodząc około cmentarza, ujrzał pomiędzy drzewami migające cienie umarłych... i z szumem wiatrów usłyszał głosy ludzkie.... Struchlały, drżący, nie mogąc się ruszyć, stoi jak wryty... a oto groby się otwierają, — wychodzą widma okryte w prześcieradła — śpiewając psalmy kościelne.

Wnetże uspakaja się wzburzona natura, — ucichły wiatry i wśród ciemności nocnych błyska promienna świa-

tłość... posłańcy miłosierdzia, Aniołowie Pańscy, przybywają wyzwolić z męki cierpiących braci, którzy się z grzechów oczyścili.

— Witajcie dusze wybrane — wołają do nich — zwiastujemy wam wesele wielkie; — za modlitwą Kościoła i waszych przyjaciół na ziemi Bóg wszechmogący przyjmuje was do raju — do Przybytków światłości... — i rozpuściwszy białe skrzydła, ulatują do Nieba w gronie dusz szczęśliwych, których w doczesnej strzegli pielgrzymce....

Wesołe hozanna, brzmiące w obłokach, nie zatłumiły tu nieszczęśliwych pozostałych męczarni....

Boże! — zawołał głos błagalny — jeżelim zapomniana i opuszczona od tych, którzy mię na ziemi wspierać powinni; — nie opuszczaj mię Ty, Panie Boże mój! — Od ognia pożerającego i od boleści śmierci wyzwól mię, Panie!

Na te słowa Kernek jak martwy pada na ziemię... poznał bowiem swoją małżonkę, wierną towarzyszkę życia....

. . . .

Druga bije godzina na zegarze, — cienie umarłych znikają, słychać tylko wycie wilków i przeraźliwy krzyk sowy.

. . . .

W miesiąc potem w całej okolicy mówiono tylko o dziwnym niespodziewanym wypadku.... Kernek, skąpy Kernek, całą majętność swoją rozdał ubogim i wstąpił do klasztoru w Rennes (główne miasto w Bretanii) do zgromadzenia zakonników, poświęcających się usłudze ubogich, chorych i wspieraniu dusz w czyścu cierpiących.

Przyszłość rodu ludzkiego.

Walka z śmiertelnością zrobiła w ubiegłem stuleciu olbrzymie postępy. Szczepienie ospy, odkryte w końcu XVIII. wieku, uratowało życie milionom ludzi. Hygiena czyli nauka o sposobach zdrowego życia chroni ludzi od chorób i przedłuża im życie. Cholera nie grasuje już dziś tak silnie jak dawniej, a śmiertelność dzieci zmniejsza się stale. Wszystkie też kraje cywilizowane wypowiedziały walkę suchotom i rakowi, a lekarze bezustannie myślą nad tem, jakby

i tym dwom strasznym chorobom zatamować przystęp do jestestw ludzkich.

W krajach nawet, w których dawniej śmiertelność była olbrzymia, widać postęp ku lepszemu, a średnia długość życia, wynosząca dotąd 30—40 lat. przedłużyła się o 5 lat dla mężczyzn, o 6 lat dla kobiet.

W ciągu XIX. wieku ród ludzki rozmnożył się do takich rozmiarów, o jakich się nie śniło naszym przodkom. W roku 1806 miała Europa 187 milionów mieszkańców, a w roku 1900 już 400 milionów, mimo silnego wychodźtwa do Ameryki, które powiększyło ludność Stanów Zjednoczonych z 3 do 76 milionów.

Gdyby ludność tak dalej wzrastała, to jest podwajała się co 100 lat, wówczas liczba ludności wynosząca dziś tysiąc pięćset milionów, wyniosłaby w roku dwutysięcznym trzy miliardy — w roku 2100 sześć miliardów, a za nowe tysiąc lat żyłoby na kuli ziemskiej dwa tysiące miliardów istot ludzkich i płaneta nasza musiałaby je wszystkie wyżywić.

Na szczęście przyrostu takiego obawiać się nie potrzebujemy, a to dlatego, że choć się zmniejszyła liczba śmierci — to zmniejsza się także i liczba urodzeń.

Widoczny tego dowód daje Francya, w której liczba ludności stale się zmniejsza wskutek coraz mniejszej liczby urodzeń, a zjawisko to — jak twierdzi profesor duński Westergaard, stanie się wkrótce powszechnem. Coraz mniej będzie dzieci i młodzieży, a coraz więcej starców.

Widzenie.

Gawęda z końca XVIII. wieku.

Za mej pamięci, dziatki moje (prawił dziadek, pan Stanisław z Wierzbowa, do wnuków swoich) nie było tylu mędrków co dzisiaj — modlono się szczerze, wierzono mocno, w co ojcowie starzy wierzyli i lepiej nam z tem było. Oj! tak, lepiej; bo w każdem utrapieniu, w każdej dolegliwości, człek miał pociechę i pomoc w tym miłosiernym Bogu, który prawdziwego sługi swego nigdy nie opuszcza. Dzisiaj żartują sobie z piorunów i stawiają na domach ja-

kieś tam żelazne pręty. Miły Boże! pewniejszy był loterański dzwonek, albo rozpędzający chmury dzwon na wieży kościelnej, gdy gradowa zbliżała się nawałnica. O! święte czasy — nie sromano się wtedy pomodlić i czołem Bogu uderzyć.

Każdy też przed ołtarzem padał ze skruchą na kolana: ale gdzieindziej, w potrzebie, nie ugiął karku tak łatwo, stał silnie by dąb i szanowano jego odwagę. A bywało w podróży, to śpiewa psalmy i godzinki, to odmawia modlitwy i krzyżem żegna drogę — i nieraz wybawiło to z przygody. Ja sam pamiętam, kiedy byłem na Rusi i przejeżdżałem przez jednę wioskę, wyszła ku mnie stara kobieta i nuż prosić pokornie, abym z jej rąk wypił czarkę miodu. W dobrej wierze, (bo nie wiedziałem, że baba ta była czarownicą, a miała do mnie jakieś dawne urazy) biorę szklankę, ale według swego zwyczaju żegnam ją krzyżem świętym — aż brzdęk! i dno całe wyleciało — a owa niecnota ze strachu uciekła. Kto wie, co tam było w tej szklance!

We śnie też Pan Bóg przysyła czasem przestrogę, jak raz panu wojewodzie, u któregom dworsko sługiwał. Jeszczem był małym chłopcem, kiedyśmy się byli wybrali w podróż do jego dóbr na Ukrainie. Jedziem i jedziem — jakoś jednego dnia wjechaliśmy w długą i gęstą puszczę. Już noc za pasem, a tu ani dachu, ani żadnego schronienia — aż wreszcie nadybaliśmy karczemkę lichą i brudną. Nie było jednak w czem wybierać, tem bardziej, że zbierało się na burzę, czarne chmury okryły zewsząd niebo. Żyd już spał, czy udawał śpiącego; ale jak go hajduk po swojemu poprosił, ustąpił zaraz miejsca podróżnym. Rozpalono ogień na kominie i powypędzano z izby bachorów, z którymi żyd gwarzył po stronie, jak widać było, z wielką ostrożnością. Ja, patrząc z boku, dostrzegłem, że zaszeptawszy coś do ucha małemu chłopcu, wsadził go na konia z jakiemś zleceniem. Opowiedziałem to memu panu. Ale wojewoda, ufny w opiekę Boską i liczbę swoich dworzan, spokojnie zjadłszy wieczerzę, zasnął. Spocząłem i ja przy jego nogach na wiązce siana.

O północy zerwał się pan wojewoda, ukląkł, a pomodliwszy się nieco, znowu zasnął. Jam już oka nie zmróżył —

jakiś strach mnie dziwny ogarnął. Kiedy kur pierwszy zapiał, zrywa się powtórnie wojewoda, pada krzyżem i woła: «Niech się stanie Twoja wola Panie! jeżeli mi przestrogę rzeczywistą przysyłasz». I zaraz kazał mi wstać, zbudzić ludzi jak najciszej, z zaleceniem, aby się mieli co rychlej do broni, bo hajdamacy nad karkiem. Sam co prędzej się ubrał, kazał wrota mocno obwarować, a do izby przywołał sześciu dworskich z nabitą strzelbą. Pacholik wysłany na zwiady, z dymnika ujrzał gromadę zbrojnych. «A więc to prawda (rzekł do siebie wojewoda), com we śnie widział i słyszał. Święta Twoja wola Panie niech się stanie!»

Niebawem nadciągnęła owa kupa łotrzyków, uzbrojonych w szable, siekiery, samopały. Po krótkiej naradzie uderzyli jedni we wrota, drudzy przez okna do izby — ale gdy z obu stron niespodzianie dano do nich ognia z rusznic, pierzchnęli od razu, zostawiwszy kilku ranionych i zabitych. We dwa pacierze jużeśmy na bryczkach siedzieli, a każdy z gotową do obrony strzelbą. Woźnice zacięli konie — a ledwośmy ruszyli z miejsca, już dach cały na onej karczmie stanął w płomieniach.

Nie bądź prędkim do gniewu!

Jedną z najpiękniejszych miejscowości w Anglii jest hrabstwo Wales, obfitujące w starożytne budowle i malownicze ruiny. Szczególniejszą uwagę zwracają na siebie ruiny potężnego zamczyska, ukryte głęboko w górach. W podworcu zamkowym stoi dobrze jeszcze zachowany pomnik wielkiego psa, rzucającego się groźnie na wilka.

Z tym ciekawym pomnikiem związane jest takie podanie:

W bardzo dawnych czasach mieszkał w tym zamku bogaty szlachcic, imieniem Howel. Poddani kochali go, bo był dla nich dobrym i wyrozumiałym panem. Szpeciła go jednak jedna wielka wada: był bardzo popędliwym i prędkim do gniewu.

*) Hrabstwo oznacza tu powiat.

Wcześnie odumarła go żona, a całą miłość, jaką żywił do zmarłej, przeniósł na trzechletniego synka. Oprócz syna polubił jeszcze swego psa, który się nazywał Duke. Było to potężne zwierzę, nadzwyczaj odważne i wierne. Był przywiązany do swego pana, a jeszcze więcej do jego synka, małego Oliwera, którego na krok nie opuszczał, chyba, że go pan zabrał na polowanie na wilki!

A było to ulubione zajęcie tak pana, jak i psa. Gdy lord Howel, odziany w grubą skórę, brzęcząc ostremi ostrogami, stanął przed swym psem z mieczem przy boku i z dzidą w ręku, wówczas mądry Duke rozumiał już, co jego pan zamierza. Skomląc z radości, skakał na pana, pędził przed jego koniem i zapuszczał się w najgłębszą gęstwinę leśną, aby porachować się ze swym dziedzicznym wrogiem, krwiożerczym wilkiem.

Gdy tak pewnego dnia lord Howel chciał znowu pojechać na łowy, z największem zdziwieniem spostrzegł, że tym razem jego Duke nie miał żadnej ochoty do towarzyszenia mu w polowaniu. Odwarknął niechętnie, spojrzał gniewnie na pana i położył się potem u nóg małego Oliwera na znak, że go dziś nie chce opuścić. Nie było innej rady, jak pojechać samemu bez niewdzięcznego psa.

Lecz polowanie bez odważnego psiska nie miało żadnego uroku dla lorda, który też już za kilka godzin powrócił do zamku. W sieni zamkowej zauważył na twarzach służby niezwykłe zmieszanie.

Złowrogie przeczucie zrodziło się w jego duszy. Rzuciwszy okiem na przerażone twarze, nie pytając się o nic, pospieszył do sypialni swego synka. Tu spotkał się na progu z Dukem, którego pysk broczył od krwi. Za psem spostrzegł lord wielką kałużę krwi. Wstrząsający okrzyk wyrwał się z piersi lorda!

A więc — myślał lord — dlatego pies pozostał!

Widocznie chciał on w czasie nieobecności swego pana zamordować jego dziecię! O! ty niegodziwa bestyo!

I uniesiony gwałtowną złością pochwycił nieszczęsny ojciec za dzidę i kilku pchnięciami zabił niegodziwego psa. Z jękiem powalił się pies na ziemię. Raz jeszcze podniósł głowę do góry, przypełznął do nóg rozgniewanego pana i lizał je, poczem zginął.

W tejże chwili dał się słyszeć tkliwy głos dziecka: «Ojcze, kochany ojcze!» I gdy Howel wszedł do pokoju, wyciągnęły się ku niemu delikatne rączki synka, który dopiero co zerwał się ze snu. Przed łóżkiem zaś dziecka leżał — o grozo! — ogromny wilk z rozprótym brzuchem we własnej krwi!

Lord stracił przytomność i upadł zemdlony obok zabitego wilka. W ślepym gniewie zabił zwierzę, które ocaliło życie jego dziecku.

Dopiero po niewczasie zrozumiał lord, że Duke zwietrzył dziś rano wilka w pobliżu i dlatego ociągał się, nie chcąc iść z panem na polowanie. Poczciwy pies stoczył z wilkiem zażartą walkę i pokonał go, podczas gdy służba rzuciła się do ucieczki.

Lord, chcąc niejako uwiecznić bohaterskie poświęcenie psa, kazał wykuć w kamienia jego podobiznę i pomnik ten postawić w podworcu zamkowym.

POSŁAŃCY ŚMIERCI.

Pewien starzec był ciężko chory, gdyż zbliżyła się doń śmierć, aby go zabrać. Ponieważ nigdy się nie zastanawiał nad końcem swoim, przeto prosił śmierć, aby wstrzymywała jeszcze swoją złowrogą rękę, póki on testamentu nie sporządzi i nie przysposobi się do tak dalekiej drogi.

— Jakto stary grzeszniku, — odezwała się śmierć, czy nie miałeś czasu urządzić dotąd tych rzeczy, gdy od lat tylu ciągle cię ostrzegałam.

— Błagam cię, — mówił starzec, — i odwołuję się do twej szlachetności! nie pamiętam, byś mnie kiedy ostrzegała.

— Widzę, — rzekła śmierć, — że i starcy umieją kłamać. Czyliż nie ostrzegałam cię 100 razy, kiedym porywała z przed oczu twoich, z wielkim żalem twoim, nietylko rówieśników, z których już ani jeden nie żyje, ale nawet tylu młodzieńców, niedorostków i dziatek w kolebce? To ja się do twojej szlachetności odwołuję, niebaczny starcze! Czyż nie było to dla ciebie przestrogą, kiedy czułeś słabnący wzrok, kiedy włos twój bielał, powonienie i słuch

tępiały, zmysły cierpły i drętwiały, a całe ciało do zgrzybiałości się chyliło? To byli moi posłowie, którzy kołatali do drzwi twoich; lecz tyś się wymawiał, że cię niema w domu. Dość często i dość długo cię przestrzegałam; dłużej czekać nie będę; wnijdź do grobu.

Oto obraz tego, co się przytrafiło i przytrafi wielu z nas.

Dzień jesienny.

Śpi słoneczko za chmurami,
Nie wyszło na niebo,
Nie błysnęło promieniami
Nad zoraną glebą.

A tak smutno nam bez słońca,
Świat taki ponury,
Kędy spojrzeć w dal bez końca,
Tylko szare chmury.

Płyną chmury wciąż gromadą
Z za sinego boru,
Senne krówki spać się kładą,
Ptaki bez humoru.

Deszcz pokropił — spływa strugą
Do rzeki i rowu;
Przestał chwilę, by niedługo
Zacząć padać znowu.

Z drzew ostatni liść opada,
Żółtością się mieni,
A wiatr z szumem opowiada
Baśni o jesieni.

A. O.

Szkoła z przed 4 tysięcy lat.

Ludność chwali się dzisiejszym postępem, zdaje się nam, że w tych ostatnich wiekach, latach, doszliśmy prawie

do szczytu oświaty, i że w dawnych wiekach była wielka w społeczeństwie ludzkiem ciemnota.

Otóż w tym względzie mylą się ludzie bardzo. Uczeni badacze, którzy odkopują gruzy miast babilońskich z dawnej i bardzo dawnej przeszłości, znajdują w tych gruzach rzeźby. sprzęty, meble i zbroje, a wszystko tak pięknie wykonane, że każą się domyślać, iż żył tam niegdyś lud wysoce oświecony, czyli cywilizowany.

W rozkopaliskach miasta Sippary, które istniało dwa tysiące lat przed narodzeniem Chrystusa Pana, znalazł niedawno pewien uczony badacz szkołę babilońską z robotami uczniów, mianowicie znalazł w niej posągi i małe tabliczki.

Na jednej z takich tabliczek stoi napisane, że «kto się odznaczy w pisaniu, będzie jasny jak słońce». Cała szkoła miała zaledwie 14 stóp wysokości a składała się z 7 izdebek. Na wielu tabliczkach, znalezionych w owych izdebkach, udało się uczonemu badaczowi odczytać różne hymny, spisy wyrazów, zadania rachunkowe, kontrakty itp.

Nauczyciel podawał uczniom wzory na swej tabliczce, a uczniowie przepisywali je kościanemi pałeczkami na glinianych tabliczkach, i równocześnie półgłosem zapewne uczyli się czytać.

Po zapisaniu jednej strony tabliczki odwracano tabliczkę i pisano na drugiej. Nauczyciel odczytywał tabliczki, poprawiał znaki lub kazał uczniom na nowo pisać lekcyę. Po zapisaniu tabliczki nauczyciel zmazywał pismo i podawał tabliczkę innemu uczniowi.

Tak tedy na XXI. wieków przed nami, 4 tysiące lat wstecz, były już szkoły, a dziś przy takim olbrzymim postępie jeszcze są wsie u nas, gdzie szkół niema, gdzie szkoły nawet nie pragną.

Jak postępować przy opatrywaniu ran i skaleczeń.

Każdemu z nas nieraz się zdarzało skaleczyć się przy pracy, wtedy najwięcej nas przestrasza uchodząca krew; żeby ją zatrzymać, zawiązuje się palec lub inne skaleczone miejsce pierwszym lepszym, a czasem nawet i brudnym płat-

kiem. Takie postępowanie jest bardzo niebezpieczne, — a dla czego? zaraz wytłómaczymy.

W powietrzu, w wodzie, słowem wszędzie znajduje się niezliczone mnóstwo drobnych żyjątek, które są tak maleńkie, że gołem okiem widzieć ich nie możemy, a które są naszymi strasznymi wrogami i czyhają na nasze zdrowie, a nawet życie. Te małe stworzonka nazywają się bakteryami, chcą się zaś dostać do naszej krwi, lecz broni im skóra, którą mamy na swem cele

Zaraz pod skórą mamy naczynia, zwane limfatycznemi, które łączą się z naczyniami krwionośnemi. I niech tylko skóra się roztworzy przez skleczenie, lub ukłócie, wnet ci nasi mali wrogowie mają łatwy wstęp do krwi i wywołują nieraz zapalenia. Otóż to wprowadzenie szkodliwych bakteryi do ciała, nazywa się **zakażeniem krwi,** często bywa bardzo niebezpiecznem, a nawet czasem **kończy się śmiercią.** A powstaje to czasami z bardzo małej ranki, której się nie opatrzyło lub przewiązało brudną szmatą.

Więc jak powinniśmy opatrywać rany? Każdą rankę trzeba przemyć wodą, która ma w sobie truciznę, zabijającą owe stworznka, które weszły do naszej rany z noża, albo były w brudnej szmacie, a także na naszych rękach. Jeżeli nie mamy takiej wody, która zabija bakterye, jak na przykład woda karbolowa lub też sublimatowa, to powinniśmy wziąć przegotowaną gorącą wodę i obmyć dobrze tę ranę, a potem przyłożyć watę opatrunkową i następnie obwiązać czystym płatkiem, by powietrze nie dochodziło.

Na wsi a także i w mieście w każdym domu powinna być woda karbolowa. Jeżeli rana jest większa, należy ją obłożyć gazą jodoformową, moczyć w wodzie karbolowej i zmieniać gazę tak długo, aż przestanie się przylepiać, a rana zacznie wtedy zarastać. Ale nie powinniśmy nakładać jakieś liście, chleb gnieciony z jakąś brudną wstrętną pajęczyną, jak to robią po wsiach.

Gdy chcemy przekłóć małą krostę lub wrzodzik, to należy igłę wprzód napalić, by się spaliły na niej wszystkie bakterye, w przeciwnym bowiem razie możemy łatwo zakazić ranę.

ROZMAITOŚCI.

Drugi rocznik *Naszej Skarbnicy* zakończy się w grudniu b. r. Nrem 9-tym. Właściwie ten rocznik miał się zakończyć we wrześniu b. r. — naumyślnie jednak przedłużyliśmy go o jeden kwartał, czyli do końca roku, aby nowa prenumerata rozpoczęła się od stycznia 1909 roku.

Za ten jednak dodatkowy kwartał prosimy dopłacić **75** halerzy, gdyż za darmo nie możemy dać trzech zeszytów (z października, listopada i grudnia), których koszta wynoszą kilkaset koron.

Owe 75 halerzy niechaj Sz. Czytelnicy przyszlą razem z nową prenumeratą, a prenumeratę prosimy przysyłać już teraz, jak najrychlej, bo musimy wcześnie wiedzieć ilu Czytelników zgłosi się na rok przyszły.

Prenumerata roczna *Naszej Skarbnicy* wynosi **3** korony.

Godne uznania. Część obszaru dworskiego Olszyny, koło Wojnicza, własność hr. N. Potockiego, wynosząca z górą 600 morgów pierwszorzędnej gleby, ma być rozparcelowaną. Kierując się jednak patryotyzmem, właściciel wyłączył od kupna żydów, co należy z uznaniem podnieść. Tym sposobem ocaleje spora garść ziemi polskiej przed kolonizacyą żydowską — zwłaszcza, że w okolicy tamtejszej dwory jeden za drugim przechodzą w ręce żydowskie.

Ohydne morderstwo W karczmie przydrożnej za Tarnopołem koło Draganówki dokonano ohydnego morderstwa. Nieznany sprawca wybiwszy okno w nocy, wdarł się do karczmu, udusił kasyera dzierżawcy Bachnera Herscha, a następnie wszedłszy do drugiej izby pokaleczył trzonem od pługa karczmarza Leiba Richtera, jego żonę i córkę.

Zbrodniarz zabrał Bachnerowi ubranie i wszystkie pieniądze, a oprócz tego Richter podczas napadu oddał mu 21 koron 60 halerzy. Po spełnieniu rabunku zbrodniarz zbiegł. Rozpisano za nim listy gończe. Przypuszczają, że pochodzi on albo z przedmieścia Tarnopola, albo też z Rosyi. Richter, jego żona i córka są ciężko ranni.

Smutne świadectwo wystawiają sobie niektórzy ruscy księża. Oto gdy przed kilkoma tygodniami zwoływał wiece w powiecie zaleszczyckim ruski radykał poseł Stefanyk, to na jego wiece przybyli także ruscy księża, słuchali jego mów i sami głos zabierali. A trzeba wiedzieć, żę partya tego posła szerzy wśród ludu niewiarę i ciska gromy na popów.

Zmiana obrządku. We wsi Ostrowie koło Radymna przyjęło około 200 Rusinów obrządek łaciński, a to z powodu nietaktownego postępowania z nimi księdza ruskiego Gockiego. Słychać, że ksiądz ten mści się za to teraz nad nimi w ten sposób, że robi różne doniesienia na nich do sądu. Wcale nie chrześcijańskie jest takie postępowanic.

Ubytek żydów w Wielkopolsce. W różnych miastach Księstwa żydzi, widząc, że dzisiaj już minęły dla nich złote czasy, powoli się wynoszą, skutkiem czego tu i ówdzie musiano znieść gminy żydowskie. Obecnie zniesiono znowu gminę żydowską w Powidzu, składającą się z jednej tylko rodziny, którą przyłączono do gminy żydowskiej w Witkowie. Do tejże gminy przydzielono także przed trzema laty gminę żydowską z Mielżyna, której członkiem była tylko pewna stara żydówka.

Krzyże jubileuszowe. W dniu 2-go grudnia b. r. rozdane będą z polecenia Cesarza cywilne i wojskowe krzyże jubileuszowe. Udekoronowanych zostanie nimi 1,200.000 ludzi, z tego 700 tysięcy cywilnych, 500 wojskowych.

Budżet Wiednia. Miasto Wiedeń ma wydatków rocznie 207 milionów 140 tysięcy 20 koron — a dochodów o 290 tysięcy więcej. Na same szkoły wydaje Wiedeń 25 milionów rocznie, na opiekę nad ubogimi 16 milionów, na pensye dla urzędników miejskich 14 milionów, na budowle publiczne 24 miliony koron i t. d.

Dziwna mania. Do sądu karnego w Krakowie zgłosił się niedawno robotnik Dominik Filipowski i podał, że przed 10-ciu laty zamordował konduktora Staszczyka, którego śmierć przypisywano wypadkowi kolejowemu przejechania przez pociąg. Po przeprowadzeniu śledztwa okazało się, że Filipowski nie mógł spełnić zbrodni, o którą się oskarża, i wypuszczono go na wolność. Wnet potem Filipowski zgłosił się do sądu karnego w Rzeszowie, po-

wtórzył swoje przyznanie się do morderstwa i prosił o ukaranie, którego mu — jak twierdzi — odmówił sąd krakowski. Oskarżanie się Filipowskiego polega na chorobliwem urojeniu.

Niezwykle dziecko. Do Dra Fuksiewicza w Radomiu (w Królestwie Polskiem) zgłosiła się mieszkanka wsi Wola Solecka, z pow. iłżyckiego, Aniela Skrzyńska z chłopczykiem dwumiesięcznym, do którego piersi przyrosły jest potworek kształtu ludzkiego, ale bez głowy. Potworek posiada dobrze rozwinięte nogi i ręce. Przyrosły tułów porusza się swobodnie. Rozdzielenie tych dwóch ciał jest niemożliwe z powodu znajdujących się w miejscu zrośnięć serca i dużych naczyń krwionośnych, wobec czego Dr. Fuksiewicz musiał żądaniu jego matki, bogatej kolonistki, odmówić. Niezwykłe to dziecko waży 25 funtów i jak mówią lekarze, jest zupełnie do dalszego życia zdolne, wobec czego ochrzczono je, nadając mu imię Józef. Do rodziców dziecka o 4-ch rękach i 4-ch nogach, zgłaszał się już jakiś przemysłowy przedsiębiorca z propozycyą „wydzierżawienia“ dziecka na lat kilka, spotkała go jednak stanowcza odprawa.

Z czasów Napoleona. Niedawno zmarł w Moskwie były grenadyer, nazwiskiem Piotr Bakotin, w 118 roku życia. Bakotin nosił już w roku 1810 mundur rosyjskiego grenadyera. Był on do niedawna jedynym żyjącym świadkiem wielkich wojen napoleońskich. Brał on czynny udział w kampanii rosyjskiej w roku 1812 i widział pożar Moskwy. Pod koniec życia lubiał opowiadać wiele o Napoleonie i postrachu, jaki wzbudzał ten wielki wojownik wśród Rosyan. Nic dziwnego, że dzień, w którym Napoleon nakazał odwrót z Moskwy, obchodziło wojsko rosyjskie jak wielką uroczystość. Bakotin wrócił po kampanii z roku 1813 na wieś, później wyjechał do Moskwy, gdzie pozostał do śmierci. O śmierci Napoleona nie słyszał, imię jego jednak wbiło mu się w pamięć na zawsze.

Psy jako żebracy. Pewna angielska spółka kolejowa kazała wyuczyć psy na żebraków. Psy mają koszyczki przywiązane do szyi z napisem, że użebrane pieniądze przeznaczone są dla sierót i dzieci robotników. Psy żebrzą po dworcach kolejowych. W kilku dniach jeden

z psów wyżebrał przeszło 300 koron. Dobroczynność bardzo piękna i chwalebna.

Bank w sienniku. W pewnej miejscowości w Niemczech zdarzył się zabawny wypadek. Oto robotnik fabryczny, mieszkający w koszarach fabrycznych chował zawsze otrzymane pieniądze za robotę do siennika. Pewnego dnia chciał je przeliczyć, jakież jednak było jego zdziwienie, gdy zamiast pieniądzy znalazł samą słomę. Dowiedział się poźniej, że słomę w siennikach zmieniają co tydzień i że jego pieniadze wraz ze słomą jako podściółkę dano do chlewa świńskiego. Pobiegł więc tam czemprędzej i po długiem szukaniu udało mu się też pieniądze wydobyć.

Niech to będzie przestrogą dla innych, że siennik nie jest miejscem do przechowywania pieniędzy. Gdyby ludzie więcej czytali gazet, toby podobne wypadki nie zachodziły.

Ospa i dżuma. W Brazylii (w Ameryce południowej) panuje czarna ospa i dżuma. Liczne osoby padły już ofiarą tej zarazy. Dżuma rozszerza się coraz więcej.

Olbrzymi koral. Największy w świecie znany koral umieszczono obecnie w głównej sali muzeum w Nowym Jorku. Waży on 40 cetnarów, ma 10 stóp długości, 4 stopy szerokości i wysokości. Wydobyto go z morza przy wyspach Bahama.

100 rubli przyczyną śmierci rodziny. Dzienniki rosyjskie doniosły niedawno o następującym wstrząsającym wypadku: We wsi Łopatince powiatu jampolskiego, gubernii podolskiej, włościanin Ilkow przywiózł do domu 100 rubli za sprzedane woły i oddał je do schowania żonie. Zajęta kąpaniem dziecka żona wręczone jej papierki schowała pod poduszkę. Zauważył to mały, czteroletni syn gospodarza, niepostrzeżenie wziął papierki i podarł je na drobniutkie kawałki. Ojciec, nieprzytomny z gniewu, odrąbał dziecku głowę. Matka widząc to, upadła bez życia: serce jej pękło; kąpiące się w wanience niemowlę zachłysnęło się wodą i martwe wyjęto z wanienki.

Różne rady pożyteczne.

Umiarkowanie w jedzeniu. Najważniejszą niezaprzecznie rzeczą dla ciała jest pożywienie. Od rodzaju, od jakości, a naturalnie i od ilości pożywienia zależy rozwój naszego ciała i odporność naszego organizmu i odporność jego tak co do sił, których w życiu powszedniem nam na zdobycie bytu potrzeba, jako i co do zachowania zdrowia.

Jeść powinno się, aby żyć — lecz nie czasem żyć, aby jeść; to znaczy, że powinniśmy się wprawdzie starać o to, aby przez odpowiedne pożywienie osiągnąć możliwie wiele sił do pracy, lecz nie powinniśmy w jedzeniu i piciu widzieć celu naszego życia!

Może na to powie niejeden z Szan. Czytelników: „a więc jeść trzeba jak najwięcej i jak najlepiej, aby mieć dużo sił i długo żyć.“ O nie, — i wielceby się mylił, ktoby tak sądził. Prędzej bowiem zaszkodzi człowiekowi nadmiar w jedzeniu i piciu, aniżeli troszeczkę postu.

Żołądek bowiem człowieka, to nie torba skórzana, w którą można pakować, co tylko się zmieści, to nie stągiew, w którą można lać, ile się podoba! Trzaśnie torba — da się zeszyć i można pakować w nią dalej; rozpadnie się stągiew, zakłada się obręcz i leje się w nią znowu; żołądek zaś, to raczej misternie zbudowany aparat, z którym jak z jajkiem obchodzić się trzeba.

A pilny to i pracowity aparat: pracuje dzień i noc prawie, przetrawiając powierzone mu potrawy i wyrabiając z nich soki żywotne, które ciału naszemu są potrzebne; nie znosi on jednakże, abyśmy go w nadmiar obarczali ową pracą; a zrobimy to przez nierozsądne przeładowanie go, natenczas traci poprostu ochotę do pracy i odstawia nam wprawdzie jeszcze robotę, ale już nie robotę dobrą, jeno „fuszerkę“!

Część potraw pozostaje albo źle, lub też wcale nie strawioną; i nietylko że źle, lub wcale nie strawionę potrawy nie przynoszą nam żadnej korzyści, czyli że poprostu są wyrzucone — ale co jeszcze o wiele gorsze, to to, że żołądek się psuje i wywołuje cały szereg najróżniejszych chorób i niedomagań, podkopujących nasze

zdrowię. To też zawsze dbać o to należy, abyśmy żołądka nie psuli sobie przez nierozsądne przepakowywanie go! Zawsze lepiej mniej, aniżeli za wiele, bo potem i doktor i apteka nic nie pomogą!

Pewne lekarstwo na odmrożenie Bierze się szklankę piwa i stawia się ją na piecu. Po dwóch lub trzech dniach piwo wskutek ciepła wyparuje i zostanie z pełnej szklanki tylko na dnie klejowaty syrup. Smarując nim rano i wieczór odmrożone miejsce, goi się je zupełnie po 7 lub 8 dniach.

Oszczędzanie nafty. Niejedna z gospodyń sądzi, że mniej nafty wyjdzie, jeżeli płomień lampy będzie jak najmniejszy. Tymczasem tak nie jest, gdyż płonący knot ciągnie naftę prawie jednakowo, czy jest więcej czy mniej wykręcony. Jest podniesiony wyżej, to wszystka nafta, którą ciągnie, spala się zupełnie, dając płomień wielki i jasny; wystaje knota nie wiele, to tylko część nafty spala się zupełnie, a reszta w postaci niewidzialnych trujących gazów ściele się po izbie, wywołując u ludzi objawy podobne, jak przy zaczadzeniu, z tą tylko różnicą, że są znacznie słabsze.

Oczyszczanie narzędzi. Każde narzędzie, czy to pług, czy radło, czy brona, czy łopata, po użyciu musi być starannie oczyszczone z ziemi i wilgoci. Można żelazo oczyścić z ziemi wodą, ale potem do sucha wytrzeć. Jeżeli ma leżeć czas dłuższy, winno być nasmarowane tłuszczem. Drobne narzędzia dobrze jest wieszać na gwoździach, wbitych w ścianę komory, lub innego zamkniętego pomieszczenia. Jeżeli każdą rzecz złożymy na swojem miejscu, wówczas w razie potrzeby znajdziemy ją, a nie zatracimy.

Sadze z kominów i pieców są wybornym nawozem na ogrodowizny, gdy się weźmie 9 części sadzy i 1 część kainitu. Służą one także za ochronę przeciwko robactwu, tępiącemu delikatne rośliny ogrodowizn, szczególniej przeciwko pchłom ziemnym i mszycom. Na buraki, marchew niema lepszego nawozu nad nawóz ze sadzy. Trawniki, posypywane sadzami, wydają trawy ciemno-zielone. Także na drzewa owocowe działa ten nawóz wybornie, można go również używać w mieszkaniach do doniczek z kwia-

tami. W tym ostatnim celu dodaje się jeszcze do sadzy drobno sproszkowanych odpadków rogu i mieszaninę tę daje pod kwiaty. Nawozem tym podsycone rośliny rosną niesłychanie bujnie i wydają mięsiste liście i piękne kwiaty.

FIGLE I ŻARTY.

Na wsi. Rozmowa dziedzica ze swoim „doradcą".

— Ja rozumiem, wielmożny panie dżedżycu, że każdy ma swoje zmartwienie, każdy ma swego móla, co go gryzie....

— Tak, tak, masz racyę, każdy ma swego „Szmula", co go gryzie....

Domyślność. — Zdaje mi się, że ten Ignac to musiał chyba umrzeć?

— E, skąd to przypuszczenie?

— Bo widziałem, jak go wieźli w trumnie na cmentarz.

Skutki alkoholu. W pewnym domu obchodzono uroczyście imieniny dziadka. Obecny na uroczystości członek Towarzystwa Eleuteryi (Wstrzemięźliwości) toast swój zakończył słowami:

Widzimy więc, że nasz solenizant doczekał się tak pięknego wieku, bo 85 roku życia, tylko dzięki temu, że nigdy nie pił alkoholów. Niech żyje.

To jeszcze nie taki piękny wiek — mówi sam solenizant — gdybyś pan znał mojego brata, ten dziś liczy 96 lat, a odkąd go znam codziennie jest pijany, jak bela!

Patryota. Węgier Mikosz był patryotą gorąco kochającym swoją Ojczyznę. W jakiejś restauracyi w Wiedniu podają mu rachunek za indyka czeskiego dwa guldeny, a za kapustę węgierską cztery grajcary. Rozgniewany za zniewagę kapusty narodowej mówi Mikosz:

— Nie przyjmuję waszego głupiego rachunku; za kapustę węgierską płacę dwa guldeny, a za indyka czeskiego cztery grajcary.

Omyłka druku.

W poprzednim 7-ym numerze na str. 191 w artykule *Złote myśli i zdania* w ostatnim wierszu od dołu zamiast: „Daj Boże — Siebie", ma być: „Daj Bogu — siebie".

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Ks. Marceli Dziurzyński.**

Z drukarni Związkowej w Krakowie, od zarządem A. Szyjewskiego.